Opłata pocztowa uiszczona gotówką. Cena 25 gr.

7
Biblioteka Uniw. Jagiel.
Kraków

PŁOMIEŃCZYK
CZASOPISMO

„Mamy zbudować nową Polskę i nowego w Polsce człowieka“ *ADAM SKWARCZYŃSKI*

ROK II | WARSZAWA, LUTY — MARZEC 1938 | NR 2(9)

IMPEDIMENTUM JUDAICUM

KODEKS PRAWD, TOTALIZM I DEMOKRACJA.

Społeczeństwo polskie przeżywa dziś niewątpliwie okres nauki abecadła politycznego. W drodze ciężkich prób i załamań, w drodze udanych i nieudanych eksperymentów zwolna wykuwa się coś, co może być nazwane kodeksem podstawowych prawd politycznych. Zwolna torują sobie drogę do powszechnej świadomości prawdy, że system polityczny Polski winien być związany z obronnością Państwa a polityka zagraniczna winna kroczyć własnymi drogami, a nie wprzęgać się do rydwanu interesów obcych. Zwolna zaczyna kiełkować przekonanie, że zawiódł eksperyment totalizmu biurokratycznego, lecz że — z drugiej strony — nie stać nas na parlamentaryzm typu francuskiego i że rząd musi być silny. Zwolna zaczyna ugruntowywać się przekonanie, że o ile Konstytucja winna zabezpieczać Państwo przed kaprysami przypadkowej większości sejmowej, o tyle ordynacja wyborcza nie może być środkiem do fałszowania rzeczywistości politycznej.

Zwolna też zaczyna przeważać przekonanie, że jedynie właściwą na dłuższą metę formą rządów w Polsce może być tylko rozsądna demokracja, przystosowana do polskich warunków. W formie negatywnej wyraża się to w przekonaniu, że nie są nam potrzebne żadne importowane totalizmy, i że nie predystynowały nas do tego ani nasze dzieje, ani nasz charakter narodowy. Dają się też słyszeć głosy, że nie stać nas wogóle na żaden porządny totalizm i że conajwyżej możemy mieć do czynienia z jakąś jego niepoważną i humorystyczną karykaturą. Można więc śmiało postawić optymistyczną tezę, że dojrzałość polityczna Narodu aczkolwiek zwolna, lecz mimo to wyraźnie postępuje naprzód.

TEORIA I ŻYCIE, CZYLI WROGOWIE MIMOWOLI.

Wytykanie Narodowi Polskiemu jego wad i ułomności jest dzisiaj rzeczą stosunkowo łatwą. W ciągu długich lat dziesiątków czynili to — i słusznie! — najznakomitsi pisarze polscy. Postawmy więc dzisiaj przed sobą zadanie znacznie mniej popularne i podejmijmy się obrony społeczeństwa polskiego. Postarajmy się mianowicie wykryć przyczyny, które opóźniają proces dojrzewania politycznego Narodu. Postarajmy się w pierwszym rzędzie znaleźć odpowiedź na najbardziej zasadnicze i doniosłe pytanie: dlaczego ideały Demokracji nie przeniknęły dotąd całego społeczeństwa polskiego i dlaczego dotąd jeszcze znajdują wśród nas posłuch niepoważne totalistyczne zapędy?

Odpowiedź na te pytania nie wydaje się trudna. W społeczeństwie polskim odbywa się dzisiaj dwojaki proces psychiczny: proces nawrotu do ideałów rozsądnej demokracji i proces uświadamiania kwestii żydowskiej. Minęły już bowiem te czasy, gdy znajdowały posłuch sugestie o nieistnieniu w Polsce wogóle tej kwestii. Dzisiaj dziecko nawet zdaje sobie sprawę, że żyje wśród nas obcy naród o odrębnej zupełnie psychice, o niezwykle silnej solidarności wewnętrznej, że zagarnął on w swoje władanie całe domeny życia gospodarczego i że dzięki temu została zwichnięta w katastrofalny sposób równowaga funkcyj w organiźmie narodowym.

Zdawałoby się, iż nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby oba te procesy rozwijały się równolegle, wzajemnie się uzupełniając. Nic nie stoi na przeszkodzie, ażeby uświadamianie wagi zagadnienia żydowskiego postępowało w parze z dążeniem do uczciwej i rozsądnej demokracji. Nigdzie nie jest napisane, żeby demokrata i radykał społeczny musiał być koniecznie obrońcą supremacji żydowskiej.

Ale niestety — ta jasna i prosta prawda została w umysłach polskich w sposób katastrofalny spaczona. Szereg ugrupowań, wysuwających demokrację, jako swoje sztandarowe hasło, związał swój los z obroną żydowskiego stanu posiadania. Olbrzymie rzesze obywateli zostały odtrącone od demokracji przez ów żydowsko-demokratyczny sojusz. Cały szereg „polskich Hitlerów“ (domowego wyrobu) zwiększa znakomicie swoje szanse, dyskontując żywiołową niechęć społeczeństwa do t. zw. „żydowskich pachołków“.

Jednym z największych paradoksów chwili bieżącej jest fakt, że obrońcy i heroldowie Demokracji okazują się w praktyce ludźmi, hamującymi bardzo skutecznie wzrost w społeczeństwie sympatyj dla ideałów demokratycznych. Wśród ugrupowań tego typu znajduje się, niestety, i Polska Partia Socjalistyczna.

UROJONY OBYWATEL ROZMAWIA Z PPS.

Jeśli abstrahować od tradycyjnej frazeologii partyjnej a rozważać sprawę trzeźwo i logicznie — trudno dopatrzeć się związku pomiędzy ideałami Socjalizmu a obroną interesów narodu żydowskiego. Jeśli wyobrazimy sobie obywatela, który nie zna kulis ruchów społeczno - politycznych, a bierze rzeczywistość tak, jak ją widzi, z wielką dozą prawdopodobieństwa możemy wyobrazić sobie następujący dialog między owym obywatelem a przedstawicielem Pol. Partii Socjalistycznej:

„Ustalmy, Panowie Socjaliści, czego Wy naprawdę chcecie? Pogadajmy sobie logicznie na temat waszego programu. Chcecie Panowie upaństwowienia środków produkcji? — Doskonały pomysł! Chcecie podziału latyfundiów pomiędzy bezrolnych? — Znakomita rzecz! Chcecie rządu robotniczo - chłopskiego? — Dawno już czas ku temu! Chcecie wywłaszczenia kapitalistów? — Na pohybel pijawkom! Chcecie wolności sumienia i prasy? — Sam o tem myślałem! Chcecie prawdziwej demokracji i kontroli nad rządem? — Piszę się bez zastrzeżeń!

Tylko odpowiedźcie mi, proszę, na jedno pytanie: co do tego wszystkiego mają Żydzi i ich interesy? Dlaczego koło tego demokratycznego interesu kręci się tylu brodatych faktorów? Czy tego wspaniałego programu nie dałoby się zrealizować „we własnym zakresie"? Czy Socjalizm i Demokracja nie mogą zespolić swoich dróg z interesem Narodu Polskiego? Dlaczego Wy z takim zapałem bronicie przywilejów obcoplemiennych gości? Co to wszystko ma wspólnego z walką o prawa robotnika i chłopa polskiego?"...

Pytania powyższe zostały sformułowane, rzecz prosta, w sposób naiwny. Elita polityczna nie lubi zbytnio dyskusji, nienaszpikowanej terminami socjologicznymi. Tak zwany „zwykły zdrowy rozsądek" nie cieszy się w jej sferze szczególnym szacunkiem. Jak nad wejściem do Akademii Platońskiej zdaje się błyszczeć nad jej przybytkiem napis: „Niech tu nie wchodzi nikt, kto nie zna... sofistyki politycznej". Nieszczęsny laik, który ośmielił by się żądać od wtajemniczonego augura zwykłej potocznej mowy i normalnej logiki ludzkiej, mógłby usłyszeć łatwo wyniosłe: *„Odi profanum vulgus et arceo"*... W przekonaniu owego augura sprawa byłaby tem samem wyjaśniona a dyskusja zamknięta.

A jednak, kto wie — być może postawione pytania bynajmniej nie są tak bardzo naiwne? Być może, pod pytaniami tego fikcyjnego obywatela podpisałyby się setki tysięcy żywych ludzi? Te właśnie naiwne pytania zadawali sobie przecież twórcy pewnych współczesnych ruchów masowych, którzy przejęli od Socjalizmu jego treść społeczną, lecz którzy unicestwili go jako siłę polityczną. Te proste pytania zaważyły wszak na losie niektórych licznych i kwitnących partyj socjalistycznych, które niegdyś były, lecz których — już niema...

Zarzuty, wysunięte przez owego urojonego obywatela, podtrzymujemy w punktach zasadniczych. Ciężką jest rzeczą stawianie oskarżeń w życiu publicznem, lecz czasami trzeba to zrobić. Ciężko to czynić zwłaszcza wówczas, gdy się czuje szacunek dla tradycji i zasług, jakie reprezentuje przeciwnik. Ale mimo to musimy sprawę postawić wyraźnie.

OSKARŻAMY WAS, PANOWIE SOCJALIŚCI!

Oskarżamy Was o to, że utrudniacie zwycięstwo Demokracji Polskiej! Oskarżamy Was, że przez swoje zaślepienie, przez swój sojusz z rasowo-obcymi elementami torujecie drogę Totalizmowi! Wasza taktyka jest dzisiaj wodą na młyn zarówno polskich hitlerowiczów, jak i reakcji społecznej. Dzięki Waszej to taktyce odchodzą od Demokracji jednostki, grupy i środowiska, które nie chcą służyć za narzędzie obcych interesów. Iluż by ludzi znalazło się w szeregach Demokracji, gdyby była ona naprawdę polska! O ileż łatwiejsze byłoby wówczas jej zwycięstwo! O ileż trudniejszą byłaby sytuacja jej wrogów!

Zgadzamy się z Wami, że nie są nam potrzebne żadne ustroje totalne. Nie chcemy żadnego nowoczesnego niewolnictwa. Nie chcemy by Polska zamieniła się w jedno wielkie więzienie ideowe. Wolność człowieka i jego godność są nam nie mniej drogie, niż Wam. Wierzymy, że stać Naród Polski na rozsądną wolność. Co więcej — jesteśmy przekonani, iż na tej właśnie rozsądnej wolności należy budować wewnętrzną spoistość Państwa, a nie na ślepem posłuszeństwie, bierności, rezygnacji i braku odwagi cywilnej.

Ale czy Wy nie rozumiecie, Panowie Socjaliści, o ile walka o wolność i godność Człowieka jest utrudniona przez fakt Waszych antynarodowych sojuszów? Czy Wy nie rozumiecie, że upierając się przy Waszej nieżyciowej doktrynie narodowościowej, zmniejszacie szanse zwycięstwa zasadniczej sprawy, której służycie? Czy Wy naprawdę nie zdajecie sobie sprawy, ile serc polskich zabiłoby dla Was sympatią, gdyby w Waszych szeregach zwyciężył narodowy kierunek, który przecież istnieje? I czy nie byłoby to większym sukcesem od utraty przy wyborach pewnej ilości obcoplemiennych głosów?

WIELKA LEGENDA CZY SOJUSZ Z BUNDEM?

W Socjalizmie Polskim zachodzi dziś jakgdyby zjawisko niedoceniania wartości czynników niematerialnych w życiu zbiorowym. Wydaje się nam, iż niedoceniacie Panowie roli i wagi Legendy, którą mimo wszystko reprezentujecie. Wasze sztandary były sztandarami walki o wolność. Karty, jaką w dziejach tych walk posiadacie, nic wymazać nie zdoła. Słowa „Socjalizm Polski" posiadają specyficzną aurę, budzącą odruch sympatii i szacunku. W wielkiej ilości serc polskich dotąd jeszcze tli się niewygasły sentyment dla Socjalizmu. Ale to tlejące zarzewie zostało przysypane grubą warstwą wątpliwości, zastrzeżeń i obaw. I nie chodzi tu bynajmniej o to, że walczycie ostro o prawa klasy robotniczej w Polsce. Wręcz przeciwnie — uważamy, że za słabo walczycie! Czy uderzyliście np., Panowie, dość mocno na alarm w sprawie nieprawdopodobnego wyzysku chałupników w Polsce?

Powtarzamy — nie chodzi bynajmniej o ostrość walki w obronie człowieka pracy w Polsce. Wewnętrzna siła Państwa oparta być może tylko na pomyślności jego warstw pracujących. W razie potrzeby Państwo obroni w pierwszym rzędzie chłop i robotnik, a nie tchórzliwa wielka własność. Nie obroni go również przychylność międzynarodowego Żydostwa. Czem więc tłumaczy się Wasz zdumiewający sojusz z tem właśnie środowiskiem? Dlaczego w Waszych pochodach bierze demonstracyjnie udział Bund, jakby na urągowisko polskiej idei narodowej, jakby dla podkreślenia, że więź narodowa nie ma znaczenia dla polskiej klasy robotniczej? Bo że ta więź ma znaczenie w ich szeregach — o to możemy być spokojni! Dlaczego tam, gdzie w sposób oczywisty przeciwstawiają się sobie interesy narodu polskiego i żydowskiego, dlaczego tam właśnie skłonni jesteście okazać pomoc narodowi — żydowskiemu?

Odpowiecie, być może, Panowie, że doktryna Wasza nakazuje Wam stanąć zawsze w obronie słabszego. Ale to byłby, niestety, argument obosieczny. Bo czy podejmie się kto na serio obrony tezy, że w walce ekonomicznej Żydzi a nie Polacy są tą słabszą stroną?

W programie swoim umieściliście, Panowie, hasło walki z prądami narodowymi. Na zjeździe jednego z polskich związków zawodowych przemawiał przywódca Bundu p. Alter, mówiąc o wspólnym wrogu klasy robotniczej — Nacjonaliźmie, zarówno polskim, jak i żydowskim.

Czy nie przyszło Wam do głowy, Panowie, że może to być jednym z tych frazesów, jedną z tych fikcyj, które zaciemniają trzeźwy pogląd na rzeczywistość? Że może to być tylko dymną zasłoną, wybiegiem i fortelem, obliczonym na wypro-

wadzenie w pole strony przeciwnej? Cobyście powiedzieli sami o tej waszej spółce antynacjonalistycznej, gdyby się okazało, że jedna tylko strona — polska — dochowuje lojalnie umowy i walczy uparcie z aspiracjami własnego Narodu? Gdyby się okazało, że po drugiej stronie, pod osłoną łatwego frazesu, kwitnie w najlepsze bojowy i agresywny bundowsko-żydowski nacjonalizm? Czy nie nazwalibyście to sami wyrafinowanym oszustwem, obliczonym na gojską głupotę?

NIEPROSZENI GOŚCIE CZYLI SOCJALIZM OKUPOWANY.

Przyznajcie się szczerze, Panowie Socjaliści, że macie sami już dość koszernego towarzystwa. Że pragnęlibyście zejść się z rodakami, w czysto polskim gronie, i pogadać sobie o Socjaliźmie, o Demokracji, o poskromieniu karteli, o potrzebach człowieka pracy. Że chcielibyście zwołać wielkie wiece i zgromadzenia ludowe, ażeby budzić poczucie godności obywatelskiej, domagać się udziału w życiu publicznym, głosić hasła odpowiedzialności za losy Państwa. Chcielibyście wskrzesić w społeczeństwie legendę Czerwonego Sztandaru, który w ponurą i ciemną noc dziejową był nadzieją i przewodnikiem Narodu.

Ale wiecie bardzo dobrze, Panowie, że są to nieziszczalne marzenia. Gdziebyście dzisiaj nie poszli — wszędzie będzie wlec się za Wami potworny tren nalewkowski. Nie potraficie urządzić żadnego zebrania publicznego, którego by nie opanowała czarna szwargocąca masa. Nie potraficie powiedzieć słowa o zdradliwej taktyce Kominternu w waszych szeregach, ażeby nie zerwała się burza protestu ze strony waszych kruczowłosych słuchaczów. Ci nieproszeni goście są bowiem święcie przekonani, że Wy musicie im służyć, że Wy stanowicie tylko legalną, umiarkowaną odmianę partii komunistycznej. Ta masa jest przekonana, że gdzieś tam wysoko zapadły decyzje, wiążące nierozerwalnie Wasze drogi z drogami KPP i z ich własnymi. I dlatego tak gorąco reaguje ona na każde odchylenie od linii, którą uznała dla Was za obowiązującą.

Powiedźcie szczerze, Panowie, czy nie jest to sytuacja groteskowa i upokarzająca? Czy nie jest to objawem jakiejś zdumiewającej dekadencji Socjalizmu Polskiego?

DECYZJA PPS — PUNKTEM ZWROTNYM.

Rozumiemy dobrze, Panowie, trudność sytuacji, w jakiej się znajdujecie. Należycie do międzynarodowej organizacji, bardzo czułej na wszelkiego rodzaju objawy nacjonalizmu, antysemityzmu, „kompromisu z reakcją" i t. p. W taktyce swojej musicie być bardzo ostrożni, ażeby nie narazić się na groźny pomruk z Brukseli czy Amsterdamu. I dlatego kto wie, czy najlepszym wyjściem nie byłoby — wystąpienie z Międzynarodówki? Może dopiero wówczas uzyskalibyście niezbędną swobodę działania, ażeby na polskim gruncie realizować Socjalizm i Demokrację w dostosowaniu do polskich warunków?

Rozumiemy dobrze, że trudno jest zrywać z utartymi szablonami myślenia i działania. Ale czasy są takie, że trzeba zdobyć się na niezależność myśli i na odwagę decyzji. Spójrzcie, Panowie, co się na świecie dzieje... Spójrzcie, jak kruszą się stare, a najbardziej, zdawałoby się, trwałe szablony i formy. „Porządek stary już się wali"... Ale czy możecie zaprzeczyć, że jedną z części tego porządku zdołała już stać się wasza tradycyjna doktrynalna postawa?

W rękach Polskiej Partii Socjalistycznej spoczywa dziś pokaźna doza odpowiedzialności za rozwój sytuacji wewnętrznej w Państwie. Wypowiedzenie przez PPS przymierza jej dotychczasowym sojusznikom żydowskim stało by się niewątpliwie jednym z najdonioślejszych wydarzeń ostatnich czasów. Kto wie, czy nie stałoby się ono punktem zwrotnym w rozwoju naszych stosunków wewnętrznych? Kto wie, czy nie znalazłaby się wówczas droga wyjścia z impasu, której dotąd jeszcze napróżno szukamy?

Na drodze do triumfu Demokracji w Polsce ciężką kłodą leży dziś *impedimentum judaicum*. Polski Socjalizm zasłuży się dobrze Ojczyźnie i Demokracji, jeśli tę kłodę odważnie i po męsku usunie. Ciężką natomiast weźmie na siebie odpowiedzialność, jeśli będzie udawał, że tej przeszkody — nie widzi.

Witold Ipohorski - Lenkiewicz.

Tragiczna oda i ponury dług

W świecie pojęć współczesnych istnieją dwa określenia bardzo popularne, lecz w treści swej umowne i względne: radykalizm i konserwatyzm. Sens ich istnienia polega właściwie tylko na wzajemnym przeciwstawieniu. Radykalizm określa się sam przez się, gdy przeciwstawimy go konserwatyzmowi. Jest jego negacją. W konserwatyźmie tkwi raczej element statyczny, jest on postawą zachowawczą, gdy istotą radykalizmu (społecznego) jest dynamika, dążenie do zmiany rzeczywistości. Ta relatywna treść pojęcia radykalizmu sprawia, że w praktyce jest to określenie ogromnie wieloznaczne. Radykałem jest zarówno radykał francuski jak i anarcho-syndykalista hiszpański. Przytem radykał francuski jest w oczach tego drugiego napewno... konserwatystą. To, że spora część członków naszej rodzimej „konserwy" uważała się zwykle i uważa za radykałów, nie jest bynajmniej nadużyciem czy fałszerstwem tego pojęcia. Jest tylko wykorzystaniem jego zbytniej rozciągliwości.

Kto nazywa swój program polityczny radykalizmem społecznym, może być pewny zupełnej bezkarności w opinii publicznej. Jego „radykalizm" do niczego nie zobowiązuje. Radykalizm jako określenie przekonań politycznych zdeprecjonował się. Wypisany na sztandarze nie budzi już zaufania. Przeciętny obywatel nie wie bowiem, co się w tym wieloznacznym terminie kryje. Czy partia, która zabiega o zwolenników, będzie bardzo radykalna, czy tylko troszkę?... Czy będzie to flirt z komunizmem czy... z konserwatyzmem? Czy będzie to sama esencja, czy też ilustam procentowy roztwór? Stwierdźmy raz jeszcze, że nie idzie tu o umyślne fałszowanie tego pojęcia. Jego treść daje bowiem prawo do bardzo szerokiej interpretacji. Radykalizm społeczny jako termin polityczny nie wiąże się, przynajmniej u nas, z żadną doktryną, z żadnym konkretnym programem, z żadnym realnym kierunkiem działania. Zapożyczony z Francji, bez związanej z nim treści, spopularyzował się u nas dzięki temu, że w polityce nic właściwie nie znaczy.

* * *

Polski radykalizm nie jest prądem politycznym ani społecznym, lecz psychologicznym. Nie ma treści intelektualnej, lecz emocjonalną. Tu, w tej dziedzinie — psychologii uczuć — oznacza bardzo wiele. Oznacza czysto uczuciową, niecierpliwą tęsknotę do integralnej przebudowy życia na lepsze, „jaśniejsze", bardziej rozumne, sprawiedliwe i szczęśliwe. Cechą tych wzruszeń jest głównie niecierpliwość i chęć nowatorstwa społecznego. Czyli: „Dalej z posad bryło świata, nowymi cię pchniemy tory!"

Ten radykalizm jest przede wszystkim cechą młodości. I to niemal każdej młodości. Wyraża się to między innymi w popularnym powiedzonku: „Kto za młodu nie był radykałem — ten na starość... etc." Szkoda natomiast, że nie ma w przysłowiu mowy o tym, czym mianowicie stają się na starość ci, którzy za młodu byli radykałami. A raczej bodaj że jest. Przysłowie to bowiem wymyślili ci właśnie, co za młodu byli radykałami. Ułożyli je zaś nie gwoli po-

gnębienia swych przeciwników, lecz dla... usprawiedliwienia siebie. Z powiedzenia tego wynika bowiem, że radykalizm jest tylko dobrą szkołą światopoglądową, że jest tylko pożądanym etapem w budowie własnego światopoglądu, przemijającą a chwalebną dziecinadą, którą stateczny, szanujący się obywatel traktuje nie jak możliwą i obowiązującą postawę życiową, lecz jako cechę młodzieńczą, dla której trzeba mieć szacunek i... pobłażanie.

Z radykalizmu się wyrasta. Młodość się musi wyszumieć. Z „wyszumianych" radykałów wyrastają potem starzy... konserwatyści. Można pokiwać głową, że taki jest odwieczny porządek życia. Dla nas jednak jest to biologiczną tragedią radykalizmu polskiego. Z tragedią tą można się w Polsce spotkać na każdym kroku.

W Polsce niepodległej dojrzało już niejedno pokolenie młodej inteligencji. W każdym z tych pokoleń rozbrzmiewały butnie i zapalczywie hasła postępu, reform socjalnych, humanitarnego stosunku do człowieka czy tylko rodaka, hasła równości, wolności i braterstwa. „Antidemokraci" i „antihumanitaryści" dostawali systematycznie po łbie i od „faszystów" i od „socjalistów" polskich. Młodzież, niemal cała młodzież — bez różnicy przekonań — wysuwała zawsze sprawy socjalne w pierwszym szeregu zagadnień programowych. Tym, co różniło na prawdę odłamy młodej inteligencji, był stosunek do zagadnień narodowych, a ściślej biorąc — żydzi. Ci z młodej inteligencji, którzy wyznawali wobec nich antyhumanitarne metody „uboju", wobec robotnika i chłopa polskiego zajmowali zawsze stanowisko nietylko postępowe, ale i pełne entuzjazmu, zachwytów programowych i dążeń do reform.

Niejedno pokolenie inteligencji weszło już w życie, niejedno szczyci się swym młodzieńczym radykalizmem i niejedno poszło z życiem na pospolity... kompromis. Nie trzeba niestety na to twierdzenia żadnego „dowodu prawdy". Gdzież są dziś w życiu społecznym, gospodarczym, zawodowym — w przemyśle, po fabrykach i na wsi — ci zapaleńcy, którzy ślubowali sobie za młodu, że „w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele"?

Przecież między robotnikiem i chłopem a inteligencją polską jest dalej mur nie do przebycia! Przecież po dawnemu obowiązuje dziś kodeks towarzyski ułożony przez „panów — szlachtę", a — co więcej — wpływ jego jest tak silny, że nawet „wysferzony" chłop czy robotnik na stanowisku rad nie rad do niego się stosuje.

Zagadnienie sprawiedliwego, „ludzkiego" traktowania robotnika i chłopa w Polsce przez inteligencję pracującą jest niewiele mniej ważne niż sprawa reform socjalnych. Ten „behavioryzm" socjalny zdolny jest wytworzyć atmosferę, w której żadne „radykalne" reformy nie wydadzą się straszne, bo można je będzie przeprowadzić w atmosferze społecznej solidarności.

Powtórzmy — polski radykalizm społeczny jest najzupełniej bezprogramową postawą psychiczną, jest — źle czy dobrze — sprawą etyki osobistej. Wydaje się jednak, że nawet w tym ujęciu nie może on wyrażać się tylko w ogólnikowym żądaniu reform, lecz że musi być osobiście praktykowany przez swoich wyznawców jako zbiór nakazów moralnych. Nie leży w mocy jednostki w państwie robić reformy powszechne na własną rękę. Nie leży w prawie obywatela nielegalnym działaniem podważać istniejący ustrój dla własnych, nawet najbardziej szlachetnych „widzimi się" ideologicznych. Ale te fakty nie zwalniają bynajmniej od odpowiedzialności praktycznej za osobiste teorie. W obowiązku „radykała" jest stosować swój radykalizm do „prywatnego użytku". Jest to sprawa wierności samemu sobie i idei. Nie wystarczy wykupić się datkiem na Pomoc Zimową, choć i to nie jest bez znaczenia. Trzeba mieć w pamięci choćby postać Staszica z jego Hrubieszowem, czy postać Adama Skwarczyńskiego, żeby wiedzieć, ile może zrobić w tej dziedzinie każdy, „kto za młodu był radykałem".

Przed młodzieżą w Polsce leży wciąż jeszcze — ugór społeczny. Leży on zarówno przed młodzieżą narodowo-radykalną, jak i przed patriotyczną lewicą i przed zrzeszeniami katolickimi. Radykalnie, lewicowo i po katolicku trzeba wziąć się do tej gorszącej sprawy narodowej. Bez nadmiernego i krzykliwego idealizmu, bez politycznych hałasów, które są już szczególnie nieprzystojne wtedy, gdy usiłują hasła sprawiedliwości socjalnej przeciwstawić polskim ambicjom narodowym i gospodarczym. Cechą naszej współczesności jest to, że gnębią ją równocześnie dwa nieszczęścia: bieda narodowa i krzywda społeczna. Nieszczęścia te idą z sobą w parze. Żadne z nich nie może być bronią przeciw drugiemu. Powszechne zbiedzenie społeczne nie zatrze poczucia krzywdy, krzywda nie zbogaci materialnie narodu. Trzeba wyzbyć się „kompleksu ubóstwa" i walczyć z własną nędzą, trzeba wyzbyć się grzechu szlachetczyzny i walczyć z cudzą krzywdą, trzeba piąć się samemu wzwyż po szczebłach gospodarczych, a nie po szczeblach socjalnych.

Trzeba nam w narodzie więcej bogatych „socjalistów" a mniej ubogich szlachetków. Więcej tych, którzy mieniem swym, zachowaniem, służbą społeczną spłacają ponury dług socjalny Polski szlacheckiej, mniej zaś tych, „radykalizm" których objawia się tylko w rzewnym wspomnieniu „ody do młodości".

Bolesław Wasylewski.

R E F L E K S J E I U W A G I.

PRACOWNIK I PAŃSTWO, CZYLI IDEOLOGIA Z WYSP NOWEJ GWINEI.

W związku z odbytym niedawno Kongresem Pracowniczym rozlegają się w prasie od czasu do czasu alarmy, że ruch pracowniczy pragną wykorzystać dla swoich celów zarówno krajowe ugrupowania o celach conajmniej niewyraźnych, jak i jawne ekspozytury obce.

W alarmach tych tkwi, niestety, znaczna doza prawdy. Amatorów politycznego zdyskontowania biedy ludzkiej jest zawsze bardzo dużo. Wokoło lekceważonego dotąd pracownika umysłowego wyrosły nagle jak z pod ziemi kohorty uśmiechniętych i bardzo „demokratycznych" przyjaciół, ofiarujących mu najbardziej ponętne warunki pomocy, obrony i... reprezentacji.

Usiłowaniom tym, rzecz prosta, winna być wydana walka najbardziej nieubłagana. Wiadomo jest doskonale, skąd padły hasła przemalowywania się na gwałt na „demokratyczny" kolor, skąd padają zalecenia udziału w obchodach patriotycznych i t. p., ażeby tą drogą — „od kuchni" — wedrzeć się na polskie podwórko, skoro nie udał się atak z łomem od frontu. Wszystko to są rzeczy bardzo dobrze znane.

Ale z drugiej strony — powstaje naturalnie pytanie, skąd to nagle wytworzyła się tak pomyślna koniunktura dla sugestyj zamaskowanych i uśmiechniętych przymilnie „przyjaciół"? Dlaczego teraz właśnie przeszywają świat pracowniczy drgnienia aktywności i determinacji? Czy powodem tego jest jakieś gwałtowne obniżenie się stopy życiowej pracowników właśnie w ostatnich miesiącach? Czy nastąpił w ich umysłach jakiś nagły kryzys ideologiczny i raptowna zmiana przekonań?

Wydaje się, iż na wszystkie te pytania trzeba odpowiedzieć przecząco. Przyczyna tego wszystkiego jest inna. Wykryć ją i nazwać po imieniu nie jest rzeczą zbyt trudną. Są to bowiem nieuniknione konsekwencje okresu, który cechowała pewna nieoczekiwana interpretacja t. zw. ideologii państwowej. Na wszystkich szczeblach drabiny państwowej spotykało się wówczas z sugestiami, że pracownik publiczny nie może żądać od swoich pracodawców, t. zn. od Państwa lub samorządu, zapewnienia mu ludzkich warunków bytu. Na każdym kroku przytaczano rozumowanie, że Państwo — to przecież Polska, a dla Polski życie trzeba oddać, a nie skamłać, że się ma dziurawe buty. Z tego więc punktu widzenia Państwo mogłoby swoich pracowników wyzyskiwać niemiłosiernie, płacić im grosze, wtrącić w otchłań nędzy i wszystko byłoby w porządku, gdyż dla Ojczyzny żadne ofiary nie są za duże.

Nie ulega wątpliwości, iż tego rodzaju rozumowanie jest zastraszającym dowodem prymitywizmu myślenia politycznego. Tak mogą rozumować tylko narody, bardzo jeszcze — mówiąc łagodnie — młode i niewyrobione politycznie. Jeśli to ma być „ideologia państwowa" — to z całą pewnością stojąca na poziomie krajowców z wysp Samoa lub Nowej Gwinei. Jest to pozatem rozumowanie niebezpieczne, gdyż łatwo może być odwrócone w ten naprz. sposób: „Polska — to państwo, państwo — to biurokracja, biurokracja — to panowie X, Y i Z". Jaki zaś stąd wypływa wniosek, jeśli przypadkiem panowie ci nie okażą się na wysokości zadania?

Z tego rodzaju rozumowaniami trzeba wreszcie raz na zawsze skończyć. Są to bowiem rozumowania nietylko monstrualne i horendalnie głupie, lecz wręcz — antypaństwowe. Trzeba raz wreszcie powiedzieć, że biurokracja — to nie państwo, a przedsiębiorstwo państwowe — to nie Polska. Niekoniecznie trzeba studiować prof. Jellinka aby rozumieć, że Państwo jest nietylko nazewnątrz, lecz i wewnątrz nas. Poza swą formą zewnętrzną — jest to kompleks pewnych specyficznych odczuwań, tradycyj i wzruszeń. Pracownik, który walczy z przedsiębiorstwem państwowym o lepsze warunki wynagrodzenia — nie jest antypaństwowem. Dygnitarz, który w imię hotentocko pojętej „ideologii państwowej" wtrąca na dno nędzy rzesze urzędników i pracowników państwowych — nie jest dobrym sługą Państwa, lecz jego szkodnikiem. Napuszona deklamacja, że to „wszystko dla Państwa" jest tu całkiem nie na miejscu i trąci głupotą lub faryzeuszostwem. I nic może nie demaskuje tak wyraźnie obłudy i fałszu tej frazeologii, jak to, że poświęcenia i ofiar żąda się wyłącznie od maluczkich i najgorzej uposażonych. Na wyższych szczeblach drabiny zapomina się nagle o głoszonych zasadach. Tam panuje zakorzenione głęboko przekonanie, że komu Pan Bóg daje władzę, temu dać musi również samochód i wiele innych przyjemnych rzeczy.

Demagogia w odniesieniu do uposażeń wyższych urzędników państwowych nie byłaby z pewnością rzeczą właściwą. Nie można żądać od ministra, aby „pracował dla Państwa" za 300 zł. miesięcznie. Państwo, pojęte jako olbrzymie przedsiębiorstwo, musi odpowiednio wynagradzać swoich dyrektorów naczelnych. Tak jest na całym świecie i tak być powinno.

Ale z drugiej strony — to samo jedynie słuszne rozumowanie winno być stosowane nietylko do szczytów, lecz i do innych szczebli drabiny hierarchicznej. Tam gdzie Państwo występuje jako przedsiębiorstwo, a nie jako kompleks nadrzędnych imponderabiliów, tam słuszną i godziwą jest walka pracowników o ludzkie warunki bytu. To nie jest żadne działanie antypaństwowe i żaden dowód „braku patriotyzmu". Trzeba w tej sprawie dać spokój argumentacji na poziomie ucznia szkoły powszechnej.

TOTALIZM BIUROKRATYCZNY, WYBORY I CZŁOWIEK.

W długiej litanii przyczyn, wywołujących ferment wśród rzesz pracowniczych, istnieje jeszcze jedno zło szczególne, któremu warto poświęcić baczną uwagę. Tym złem są konsekwencje społeczne okresu wszechwładzy biurokracji, a ściślej biorąc — niedocenianie i lekceważenie człowieka.

Geneza tego zjawiska jest prosta. Okres pierwotnego upojenia się własną państwowością i własną władzą spowodował zrozumiale pod względem psy[illegible]na arystokratyczna maksyma, że „człowiek zaczyna się od barona" została strawestowana w tym sensie, że „człowiek zaczyna się od naczelnika wydziału". Wszystko, co było niżej — było uważane za pozycję w rejestrze, numer względnie teczkę z aktami osobowymi. Za tym numerem, tytulikiem względnie stopniem służbowym uparcie nie chciano widzieć — człowieka. Ta bezosobowa szara masa miała milczeć, słuchać, wykonywać zasadnicze prace i uwielbiać zwierzchników. Była to najbardziej prymitywna postać „totalizmu biurokratycznego" i swoiście pojętego kultu państwa.

Konsekwencje tego rodzaju nastawienia nie dały na siebie długo czekać. W przyrodzie bowiem nic nie ginie — ani energia, ani materia. Nie mogły więc również zginąć bez śladu i wszystkie przypadki lekceważenia człowieka i nieliczenia się z godnością ludzką. Po każdym takim przypadku traktowania człowieka jak bezdusznego robota, w duszy jego coś się nadłamywało. Człowiek ten zaciskał zęby i milczał, ale co myślał, to myślał.. Po każdym doznanym upokorzeniu, po każdej niesprawiedliwości w duszy jego pozostawał pewien osad, na który nakładały się coraz to nowe warstwy. Czy słuszne wobec tego było by zdumienie, że osad ten, jak żyzny muł nilowy, może okazać się podatną glebą dla rozmaitych zatrutych ziaren?

Wydaje się, że lekceważyć tego zjawiska społecznego — nie wolno. Osad rozgoryczenia i determinacji w duszy poszczególnego człowieka pracy z pewnością nie wybuchnie płomieniem buntu. Ta sama jednak suma odczuwań, pomnożona przez liczbę kilkuset tysięcy czy kilku milionów — może dać w wyniku groźne zjawisko społeczne. Identyczność nastawienia, wyrosła na podłożu identycznych ujemnych przeżyć, może wytworzyć rzecz najtrudniejszą do zwalczenia, bo nieuchwytną, a mianowicie — atmosferę psychiczną. Kto zaś może zaprzeczyć, że ta właśnie atmosfera psychiczna może zadecydować o wyniku wyborów, które nie są już tak odległe? Kto może zaręczyć, że odbyte w tej atmosferze wybory nie będą ryzykownym skokiem w ciemność z zawiązanymi oczyma?

CETERUM CENSEO...

Panikarstwo i biadolenie nie jest rzeczą męską. Szkoda również marnować czas na szukanie winnych. Wniosek jaki nasuwa się z obserwacji faktów, jest jeden: trzeba śmiało i uczciwie przystąpić do usuwania zła i jego skutków Trzeba zmienić panującą w społeczeństwie atmosferę psychiczną. Trzeba zdecydować się odważnie na nieuniknione posunięcia w wielkim stylu. Trzeba zdecydować się na niezbędne zmiany personalne, gdyż żadna wielka rzecz nie da się osiągnąć bez ofiar. Krótkowzroczność i egoizm personalny mogą się zemścić bardzo dotkliwie. Czy nie zemściła się już dosyć polityka ubiegłego okresu, owocem której są obecne nastroje mas pracowniczych?

Nasze „ceterum censo" jest pod tym względem wyraźne. Będziemy je powtarzali niezmiennie aż do chwili jego realizacji. Będziemy je powtarzali, chociażby w chwili obecnej był to „vox clamantis in deserto". Nadejdzie dzień, w którym życie potwierdzi słuszność naszego stanowiska.

Metoda, jaką trzeba zastosować dla oczyszczenia atmosfery psychicznej w Polsce, jest jasna. Punkt ciężkości spoczywa bowiem z całą pewnością w rządzie, a nie w organizacjach społeczno - politycznych, w tej liczbie i OZN. Rząd, posiadający takie możliwości działania, jak to ma miejsce obecnie, może w ciągu pół roku zmienić radykalnie sytuację, oczyścić atmosferę, wprowadzić nowych ludzi. Powszechnie wysuwany postulat „nowych ludzi i nowych metod" jest skierowany pod adresem Rządu, a nie OZN. Cóż więc stoi na przeszkodzie, ażeby zdecydować się wreszcie na posunięcia, którym przyklaśnie szczerze 90% społeczeństwa polskiego? Czy istnieją już dzisiaj wątpliwości co do istotnych nastrojów mas? Czy wolno uspakajać się twierdzeniem, że do wyborów jeszcze daleko, a potem — jakoś to będzie! Czy nie dosyć było w minionym okresie zabawy w fikcje i w tworzenie „urojonej rzeczywistości"? Na wykresach i schematach wiele rzeczy bardzo pięknie wygląda, ale z rzeczywistości gorzej. Trzeba pamiętać również o starym przysłowiu myśliwskim, że gdy trzeba na polowanie jechać — to za późno psy karmić.

W ocenie sytuacji wewnętrznej w Polsce jesteśmy — mimo wszystko — optymistami. Zdrowy instynkt Narodu i zmysł rzeczywistości jego kierowników znajdą w swoim czasie potrzebne rozwiązanie. Ale trzeba pamiętać, że *primo* — nigdy nic na tym świecie nie zrobiło się samo, i *secundo* — że żyjemy w okresie, kiedy — w imię najżywotniejszych interesów Narodu przebieg pewnych procesów należy przyśpieszać...

WIZJA ŚW. JEHANNY.

Znakomita pisarka, p. Maria Jehanne Wielopolska, zamieściła niedawno w „Kurierze Porannym" studium na temat dziejów św. Filomeny — męczennicy z czasów apostolskich, odgrzebanej na początku XIX wieku w katakumbach św. Pryscylli w Rzymie.

Ponieważ jedyną metryką odgrzebanych relikwii były trzy skromne tabliczki, na żywot Świętej mogła rzucić trochę światła tylko wizja pewnej pobożnej niewiasty, siostry Marii Luizy od Jezusa, której objawiła się św. Filomena. Według tej wizji, Filomena miała być grecką księżniczką, umęczoną za czasów Dioklecjana.

Tego rodzaju wersja wybitnie nie podobała się Autorce studium. Dała więc ona swój własny, wcale dokładny opis dziejów św. Filomeny. Miała więc być ona nie księżniczką, tylko niewolnicą, wołano na nią „Głuptas", „Gąska" lub „Szkrab", gdy zaś oddała życie Bogu —. grabarz długo medytował nad jej zwłokami, szukał tabliczek w stosach gruzu, bardzo się ucieszył, gdy znalazł chrześcijańskie symbole, a po zamurowaniu wnęki przeżegnał [illegible]

Władze kanoniczne będą miały teraz kłopot, której z wizyj obu tych świątobliwych niewiast oddać pierwszeństwo.

SMUTNA HISTORIA O TYM, JAK TO FRONT MORGES MŁODSZYCH NIE POSŁUCHAŁ.

Świat polityczny w Polsce miał niedawno nielada sensację. W kominternowskim piśmie „Rundschau" ukazał się artykuł niejakiego Ostapa Dlusky'ego, zawierający peany na cześć Frontu Morges, czyli t. zw. Stronnictwa Pracy. Komunistyczny pisarz wyraził wysokie zadowolenie z taktyki nowego stronnictwa, po działalności którego Kom. Partia bardzo wiele sobie obiecuje.

Widowisko było godne bogów. W sztabie nieszczęsnego Frontu zapanowała konsternacja i przerażenie. Publicyści „Nowej Prawdy" patrzyli na siebie wybałuszonymi ze zgrozy oczyma. Sroga konfuzja ogarnęła bogobojnych Protektorów, którym teraz dopiero zaczęło świtać w głowie, że ktoś ich bezczelnie wystrychnął na dudka.

Rezonans całej tej afery był nie najgorszy. Dowcipnisie lansowali karykatury gen. Hallera, kroczącego z namaszczeniem pod czerwonym sztandarem z sierpem i młotem. We wszystkich redakcjach i kawiarniach ludzie dostawali kolek i tarzali się ze śmiechu. Konie dorożkarskie nie pozostawały również w tyle i zaśmiewały się do łez... Dawno już kraj cały nie widział takiej wsypy...

W stosunku do biednego „Frontu" mamy, rzecz prosta, tylko litość i współczucie. Ale z drugiej strony musimy przypomnieć, że wszystkie te smutne historie przewidzieliśmy wcale dokładnie. I nie tylko przewidzieliśmy, lecz staraliśmy się lojalnie wyperswadować Dostojnym Starcom ich spóźnioną jurność polityczną. W jednym z poprzednich numerów „Płomieńczyka" zamieściliśmy gorący „Apel z pod serca", w którym pisaliśmy:

> Czcigodni Panowie! Zrozumcie, że musi na tym świecie istnieć jakiś porządek. To nie jest rzeczą normalną, gdy drzewka zakwitają po raz drugi późną jesienią. A wy jesteście taką właśnie jabłonką, co zakwitła w październiku czy listopadzie... Z takiego kwiatu owocu nie będzie...
>
> Dostojni Panowie! Darujcie, ale nie imponujecie nam wcale swoim wyczuciem potrzeb dzisiejszych. Coraz bardziej oddalacie się od życia. Coraz mniej rozumiecie współczesne problemy. Nie domyślacie się nawet, kto was pociąga z tyłu za sznureczki, a wy dostojni i poważni — wyczyniacie przedziwne łamańce, jak kukiełki w budzie jarmarcznej! Czy to nie smutny i żałosny widok! Czy to nie zgorszenie i obraza boska!...
>
> Czcigodni Panowie! Wybaczcie szczerość, ale idźcie już raz na zasłużony spoczynek! Szczerze mówiąc — nic już rozsądnego nie wymyślicie! W polityce tak jak w miłości — trzeba umieć w czas odejść..."

Jak widzimy — przewidywania nasze sprawdziły się co do joty. Nie naszą jest winą, że dostojna Rada Starców nie zastosowała się do naszych przyjacielskich sugestyj. Mamy przynajmniej spokojne sumienie, że zrobiliśmy wszystko, ażeby oszczędzić im niepotrzebnej kompromitacji. Nie chcieli [illegible]

Jak to czasami bywa niedobrze, gdy starsi nie chcą młodszych usłuchać...

REGUŁA DYREKTORA REYMANA.

W warszawskiej Szkole Nauk Politycznych odbyła się niedawno skromna uroczystość: założyciel Szkoły i jej Dyrektor dr. Edmund Jan Reyman obchodził jubileusz 25-lecia swej pracy profesorskiej. Gdy szereg mówców podnosił zasługi Jubilata, gratulując mu wspaniałego dzieła, jakim jest stworzenie z niczego wyższej uczelni, — dr. Reyman odpowiedział skromnie, że nie przypisuje sobie żadnych szczególnych zasług. Według Jubilata bowiem — każdy może dokonać w życiu wielkiego dzieła, o ile zastosuje się do pewnej tajemniczej, a w gruncie rzeczy prostej reguły. Reguła ta polega na tem, że trzeba, po pierwsze — wytknąć sobie pewien cel w życiu, po drugie — wstąpić na właściwą drogę realizacji i po trzecie — poświęcić się temu celowi całko[illegible]

Słowa dyr. Reymana zasługują na baczną uwagę i głębsze przemyślenie. Są one jakgdyby uzupełnieniem dewizy Kruppa, figurującej na wystawie „Das Schaffendes Volk" w Duesseldorfie: „Anfangen im Kleinen, ausharren in Schwierigkeiten, streben zum Grossen" („Zaczynać od małego, wytrwać w trudnościach, dążyć do rzeczy wielkich").

Reguła dyr. Reymana jest niewątpliwie bajecznie prosta. Ale słusznie zwrócono kiedyś uwagę, że wszystkie wielkie rzeczy są w gruncie rzeczy bardzo proste. Życie wykazuje pozatem, że łatwość zastosowania tej reguły bynajmniej nie idzie w parze z jej prostotą. Iluż to bowiem ludzi nie umie wytknąć sobie konkretnego celu w życiu, ilu nie może znaleźć właściwych środków realizacji, iluż wreszcie nie potrafi posuwać się obraną drogą z oczyma utkwionymi w jeden cel naczelny. Nie wspominamy tu o tych, których bardzo szybko zaczyna nudzić wspinanie się ciasną i stromą ścieżką, wiodącą ku szczytom, i którzy przy pierwszej okazji skręcają skwapliwie na wygodny gościniec, wiodący... do karczmy.

Polska współczesna nie posiada zbyt wielu ludzi, mogących poszczycić się żelazną wolą, inicjatywą i uwieńczonym przez sukces czynem. W tym większym stopniu postać i dzieło dyr. Reymana pozostaną wzorem dla tych, którzy pragną pozostawić po sobie jakąś trwalszą cegiełkę w gmachu dobra powszechnego.

IDEAŁY i HANDEL

Podobno położenie geograficzne Polski na kontynencie europejskim jest tak wyjątkowo dogodne z handlowego punktu widzenia, że właściwie mówiąc, wszelakie bogactwa powinny do nas napływać drzwiami i oknami. Zespół przyrodzonych, przychylnych warunków wynikających z tego położenia winienby wykształcić w nas pierwiastki zdrowej, kupieckiej psychiki i wpłynąć na powstanie kwitnącego handlu.

Niestety, wiemy dobrze, że dzieje się wprost przeciwnie. Nie tylkośmy nie wytworzyli żadnej poważniejszej organizacji handlowej, lecz nawet jakiekolwiek dążenia w tym kierunku nie są u nas zbyt popularne. Brak nam tego rzeczowego podejścia do spraw własnych, które jest tak właściwe Anglikowi czy Holendrowi. A tylko takie podejście, w oparciu o poczucie narodowej wspólnoty, pozwala wytworzyć owo energetyczne napięcie, ów potencjał ideałów mieszczańskich, prowadzący do realizmu w poczynaniach i dążnościach, jaki cechuje narody Zachodu.

Istnieje dość rozpowszechniona opinia, że brak ten — to tylko skutek okresu rozbiorów, skrzywienie społecznego kręgosłupa spowodowane wiekowym uciskiem, które zresztą ustąpi automatycznie w miarę, jak będą się zacierały ślady niewoli. Niestety, jest to niewątpliwie tylko złudzenie. Ludzie, którzy tak sądzą, zapominają o tym, żeśmy nigdy nie byli narodem handlowym, żeśmy przegapili nie jedną dziejową ku temu sposobność, nawet wówczas, gdy nieomal przemocą cisnęła się nam do rąk. Jesteśmy tylko nieodrodnymi potomkami naszych lekkomyślnych pra-pradziadków, których błędy mamy we krwi.

Nie łudźmy się przeto — nie mamy co liczyć na samorzutną poprawę. Skrzywienie naszego kręgosłupa nie jest tylko lekką deformacją, która „sama przejdzie"; jest to zastarzała ułomność, wymagająca poważnego zabiegu ortopedycznego. Możliwe, że istniejące przychylne warunki prędzej czy później nadałyby wreszcie naszemu rozwojowi właściwy kierunek, ale byłby to prawdopodobnie proces bardzo powolny, wymagający długich lat oczekiwania. My zaś na to nie mamy czasu; to jest chyba niesporne.

* * *

Trzeba przyznać, żeśmy zrobili pewien niezaprzeczalny krok na drodze ku poprawie. Górujemy nad pokoleniami minionymi tym przynajmniej, żeśmy zauważyli swoją ułomność i chcemy się jej pozbyć. Zrozumienie istotnej wartości zdrowych instynktów kupieckich, przedsiębiorczości i sprytu handlowego nie jest już dziś nam zupełnie obce. Rehabilitacja, tak niegdyś lekceważonych ideałów mieszczańskich powoli się w społeczeństwie dokonuje. Ale zrozumienie — to jest wprawdzie wiele, lecz daleko jeszcze nie wszystko. Mało jest bowiem przekonać kogoś, że niezbędna jest dla niego, powiedzmy, znajomość języka angielskiego, — trzeba go jeszcze tego języka nauczyć. Jeżeli zaś ów ktoś posiada wybitnie nikłe zdolności lingwistyczne, trzeba się przy tym jeszcze dobrze napracować.

Tej prostej prawdy zdają się niestety nie rozumieć ci wszyscy, co twierdzą, że wzrost potencjału ideałów mieszczańskich już się w społeczeństwie odbywa samorzutnie. Tak optymistyczny sąd bynajmniej nie należy dziś do rzadkości i opiera się głównie na trzech, pozornie słusznych argumentach. Jego zwolennicy powołują się zazwyczaj na rzekomy wzrost udziału młodej polskiej inteligencji w handlu i przemyśle, na frapujący dziś problem polskiego straganu i wreszcie, jako ostatni, zabójczy i przygważdżający argument, wysuwają grubą Bertę, t. z. odpolitycznienia społeczeństwa.

Można się zgodzić, że tak dzisiaj popularna walka o polski stragan istotnie mogłaby być uważana za dowód wzrostu w społeczeństwie „potencjału mieszczańskiego", gdyby przebiegała ona na podłożu czysto ekonomicznym. Niestety jednak — rodzaj, jej przebieg i rozmieszczenie w terenie wskazują raczej na to, że istota zagadnienia tkwi raczej w dziedzinie uczuciowej.

Można zatem i należy uznać to zjawisko za pożyteczne gospodarczo, lecz trzeba mieć świadomość, że korzyści ekonomiczne, jakie przy tym osiągamy, są wybitnie okazyjne.

* * *

Jeśli chodzi o wzrost udziału polskiej inteligencji w handlu, — zjawisko to nie może jeszcze niczego dowodzić ze względu na swój nikły ilościowo wykładnik. Czyż bowiem nieliczna garstka młodych ryzykantów, którzy dość niepewnym krokiem (powiedzmy to szczerze) i z duszą na ramieniu wstępują na tę wyboistą drogę, może być uważana za dowód powstawania instynktów kupieckich wśród inteligencji?... Zdaje się, że byłoby to conajmniej przedwczesne. Są to dopiero pionierzy, którym się należy jaknajgorętsze uznanie i jaknajżyczliwsza opieka, ale tylko przesadny optymista może się w tych faktach dopatrywać jakiegoś istotnego zwrotu.

Ale zajmijmy się najważniejszym pono argumentem optymistycznej teorii: — sprawą odpolitycznienia społeczeństwa. Pogląd, że dopiero społeczeństwo „odpolitycznione" może rozwinąć większą energię w kierunku realnej działalności gospodarczej, nie jest bynajmniej wynalazkiem nowym. Wywodzi się on w prostej linii od znanej dobrze przed laty „apolityczności", uważanej wówczas w niektórych sferach za uniwersalny lek na wszystkie bolączki. Wprawdzie owa „apolityczność" była początkowo tylko jednym z elementów taktyki wobec przeciwników, lecz z biegiem czasu nabrała samoistnego znaczenia i stała się tezą programową. Ona to w swoim czasie podyktowała szereg eksperymentów politycznych, które w rezultacie doprowadziły do całkowitej atomizacji społeczeństwa. Możnaby zatem twierdzić, że koncepcja „apolityczności" była zarodkiem, który się rozwinąłw dwóch kierunkach: w dziedzinie teorii, dając pojęcie „odpolitycznienia", natomast w płaszczyźnie praktycznej formując się w „dekompozycję". Ale trudno w takim razie nie uznać istnienia związku przyczynowego pomiędzy jednym a drugim z tych pojęć. Wnioski, jakie się dadzą z tego wyciągnąć, mogą być znamienne. Nie przeszkadza to jednak istnieniu zdania, że mimo wszystko „odpolitycznienie" jest czynnikiem sprzyjającym rozwojowi prężności gospodarczej. Zdanie to reprezentują koła posiadające wpływ na tyle poważny, że nie można pominąć je milczeniem.

Nie ulega wątpliwości, że zachodzi tu oczywiste pomieszanie pojęć. Utożsamia się bowiem pojęcie pewnego ideału z potencjałem społecznym, mogącym zaważyć realnie na rzeczywistości. Tymczasem nie jest to bynajmniej to samo. Bo ideały mieszczańskie mogą powstawać u jednostek chodzących luzem i nawzajem sobie obcych. Ideały te mogą nawet rozkwitnąć bujnie, nie stworzy to jednak jeszcze potencjału, którego zasadniczą cechą jest wspólność dążeń poszczególnych jednostek, jakgdyby po przepuszczeniu ich przez soczewkę zbierającą.

Może nam ktoś zaoponować, że już samo powstanie tych ideałów w społeczeństwie takim, jak nasze, ubogim i ułomnym, należy uznać za objaw zdrowy, oprawniający nas du bardziej optymistycznej oceny przyszłości. Byłoby tak niezawodnie, gdyby te ideały były wynikiem naturalnych dążeń społeczeństwa do podniesienia stopy życiowej. Tymczasem wiele poszlak wskazuje na to, że są one tylko artykułem zastępczym, wypełniającą pustkę po wygaśnięciu ideałów politycznych.

Nie da się oczywiście zaprzeczyć, że w społeczeństwie istnieje naturalne dążenie do polepszenia swgo bytu. Mamy ostatecznie wszyscy dość naszej biedy i prymitywu naszych warunków gospodarczych. Cóż jednak, kiedy dążenie to jest zaledwie małym strumyczkiem wobec potężnej rzeki innego procesu, dającego wyniki pozornie podobne. Szukając dla tego procesu określenia, można by go nazwać, może najtrafniej, „odspołecznieniem społeczeństwa". Polega on na wzroście obojętności w stosunku do wszystkiego, co się społecznie dzieje, a już wprost niechęci do jakichkolwiek ofiar w imię wspólnego dobra. Coś, jakgdyby reminiscencja dalekiej przeszłości na temat: „niech na całym świecie wojna, byle polska wieś spokojna..."

* * *

Nie wolno zamykać oczu na to, że mnoży się dziś u nas typ człowieka, dla którego wspólne dobro stało się pojęciem niezwykle odległym i obcym, a w każdym razie bardzo mało się wiążącym z jego dobrem własnym. Należy sądzić, że nie będziemy dalecy od prawdy, twierdząc, że typ taki jest wytworem dopiero doby ostatniej. Bo komu, jak komu, ale Polakowi idealizm nigdy nie był obcy. Dziś zaś ironiczny uśmiech i niecierpliwe wzruszenie ramion są bodaj najczęściej spotykaną odpowiedzą na patos wielkich celów i haseł. Jakież jest wytłumaczenie tego dziwnego kryzysu idealizmu, tej fali jałowej atmosfery, w której nawet słynny słomiany ogień nie bardzo chce się palić?

Ten smutny objaw powstał zapewne na tle licznych i wielostronnych zawodów i rozczarowań, jakich nie szczędziły nam w ostatnich latach różne szeroko pomyślane i reklamowane imprezy społeczne, które najczęściej spełzały na niczym. Ale być może naj-

które spowodowało jednocześnie niezwykłe wyjałowienie myśli politycznej i posuchę ideową. Bo tylko idea może się stać przedmiotem wiary, ona tylko jedna może skłonić jednostkę do poświęceń i wysiłków zbiorowych. Idee zaś rodzą się i rozwijają tylko w ogniu walki, w ustawicznej wymianie i ścieraniu się myśli; bez — tego gasną. Skutkiem „odpolitycznienia" musiało więc się stać wyjałowienie terenu społecznego, a co za tym dzie — masowa ucieczka od martwych form i zastygłych haseł, którym zabrakło żywej treści.

Rzecz prosta, że naturalną konsekwencją takiej ucieczki było zamknięcie się jednostki w wąskim kole swoich osobistych interesów, a więc konieczności powstanie sui generis ideałów mieszczańskich. Ale ideały te — jeśli je wolno tak nazywać — nie mają w sobie nic twórczego, są genetycznie wrogie jakimkolwiek wogóle koncepcjom społecznym i nie wytworzą nigdy żadnego potencjału. Są one bowiem produktem rozkładu, będącego zaprzeczeniem jakichkolwiek twórczych poczynań. Nie cieszyć się trzeba z ich powstawania, lecz bić na alarm, jak w obliczu groźnej epidemii.

* * *

W dobie dzisiejszej, gdy warunki rozwoju są tak ciężkie, gdy mamy tyle zaległości i tylu przeciwników, wykreślić należy ze słownika polskiego tradycyjne „jakoś to będzie". Uproszczenia faktów, nadzieje na samorzutną likwidację odziedziczonych ułomności, — są to niebezpieczne majaki, od których trzeba się trzymać najdalej.

Naprawienie błędów przeszłości wymagać będzie olbrzymiej sumy pracy i celowego wysiłku. Wymagać będzie poza tym idei, zdolnej obudzić zanikający zapał. Słusznie bowiem pisał Adam Skwarczyński, że „człowiek, który chce być czynnym i twórczym, zdobyć się musi na entuzjazm. Bez tego stanu duszy wszelkie poczynania są małej wartości".

Takie dziś nadeszły czasy, że nawet do handlu potrzebne są — ideały...

Bolesław Łukomski.

Z LISTÓW DO REDAKCJI.

List p. Wojewody Poleskiego.

W związku z felietonem pt. „Jubileusz Szopki", zamieszczonym w poprzednim numerze „Płomieńczyka", Redaktor Naczelny naszego pisma otrzymał następujący list od P. Wojewody Poleskiego Wacława Kostka-Biernackiego, z którego przytaczamy najistotniejsze ustępy:

Szanowny Panie Redaktorze!

...Chciałbym sprostować pewne dane, skoro podnosi Pan Redaktor „Szopkę Benjaminowską" do poziomu utworu o wartości historycznej.

Przede wszystkim więc, — intencje moje w stosunku do osoby inż. J. Moraczewskiego, jako „Śmierci" były głębsze i zrozumiałe dla wszystkich, którzy znają ówczesne stosunki. Słowa urwisa „Kusego" o c. i k. kolejach są oczywiście tylko dowcipem, zresztą istotnie inż. Moraczewski budował koleje żelazne w b. Galicji. Rola „Śmierci" dla „Heroda", — zacnego, lecz słabego politycznie, pierwszorzędnego żołnierza i patrioty — gen. Zielińskiego, była dana inż. Moraczewskiemu dlatego, że on jeden z głównych przywódców P.P.S. zawsze i bardzo ostro przeciwstawiał się publicznie komendzie Legionów — (gen. Zieliński) w naszej sprawie, przeciwko przysiędze i bezwzględnie stał przy Komendancie, podczas gdy inni nasi „sympatycy" byli nieco chwiejni. Z dalszych słów „Śmierci" widać to wyraźnie.

...Przyznać się muszę, że najbardziej radykolnie i agresywnie występowałem wówczas ja przez pismo ścienne „Sprzymierzeńca", który został przez naszą własną Komendę Obozu skonfiskowany za zbytnią może zjadliwość, i w „Szopce":

„...Już słania się cień blady
Ponad czyjąś w cierniach skronią...
Dzisiaj nasze szpady
W pruskiej skrzyni hymny dzwonią...
Że tu został w poniewierce
Spisków podziemnych odmieniec
Na chorągwi jakiejś ścierce
W błazna szacie — Sprzymierzeniec...
I na władzy znak męczeńskiej
Oddał stróżom naszej cnoty —
Berło z szychu jaśni złotej —
Kaduceus swój błażeński..."

(„Sprzymierzeniec" Nr. 8).

W cierniach skroń — to skroń Komendanta, stróże naszej cnoty — to delegacja obozowa. Oczywiście, była to zbyt ostra satyra, a nawet szyderstwo, ale trzeba wziąć pod uwagę nasze ówczesne nastroje zapaleńców, nawet częściowo fanatyków, do których i ja należałem. Jednak łączyły nas ściśle i nawet serdecznie druty kolczaste, przyjęte przecież dobrowolnie. Dlatego nikt się nie obrażał, nawet na tak bardzo ostre słowa. Był to spór w najbardziej zespolonej ideowo rodzinie żołnierskiej, gdzie nie tylko rozumieliśmy się, ale i odczuwali doskonale. O jakichś różnicach poglądów na „nacjonalizm" mowy nie było. Byliśmy żołnierzami. Czy żołnierz, z własnej woli służący, nie jest tym samym „nacjonalistą"?

Wreszcie nieco własnej „rehabilitacji". Rozumiem dobrze, że można obecnie twierdzić: „nic a nic nie słyszeliśmy..." o tej mojej przeszłości... Jestem przeciętnym człowiekiem i nie mam najmniejszej pretensji do absorbowania społeczeństwa swoją osobą. „Zahaczony" — jak się to mówi — przez Pana Redaktora, muszę się obronić. Od 1905 r. byłem bojowcem P. P. S., później P. P. S. Frakcji Rewolucyjnej. Ta organizacja miała — jedyna wówczas w Polsce — naczelny postulat programu walki orężnej: niepodległość Polski. To już muszą być znane sprawy. Jestem za to odznaczony Krzyżem Niepodległości z mieczami. Od 1909 r. byłem czynnym członkiem Związku Walki Czynnej, następnie oficerem legionowym I Brygady do czasu odzyskania Niepodległości, wreszcie oficerem W. P. Bez żadnej przerwy służyłem z bronią od 1905 r. do chwili zostania Wojewodą. Nigdy nie zmieniałem przekonań. Czy czynna walka o niepodległość jest objawem „nacjonalizmu" czy „patriotyzmu" — pozostawiam do oceny lingwistom. Ale przeczę stanowczo, że zmieniłem się jakoby „na korzyść" po zetknięciu się z realną pracą polityczną. Od najpierwszych moich kroków na terenie politycznym, od czasów uniwersyteckich i wcześniejszych nawet — nie zmieniłem się. To, co robię obecnie, za aprobatą moich Władz Przełożonych, robiłem w innej formie zawsze i wszędzie, gdzie mogłem ze względu na rodzaj służby. Nie jest moją winą, że nie zawsze byłem i jestem dostatecznie rozumiany przez społeczeństwo. Jednak byli i są ludzie, którzy rozumieją mnie.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy mojego szczerego szacunku

(—) WACŁAW BIERNACKI.

Z PRASY

Głos z Anglji o demokracji.

W jednym z numerów „Kuriera Porannego" ukazała się ciekawa korespondencja z Londynu pióra Augura p. t. „Upadek demokracji w Europie", w której czytamy m. in.:

„Czy ludzie nieszczęśliwi mają jakąkolwiek korzyść z demokracji? Innymi słowy: czy demokracja jest przywilejem ludzi, żyjących w dobrobycie i pewności?

Pytanie to, budzące tyle protestów, nasuwa się nieuchronnie, przy rozpatrywaniu sytuacji europejskiej. Okazuje się, że skoro tylko jakiś naród czuje się zagrożony w swej egzystencji albo w swoim dobrobycie, ma tendencje odkładania do lamusa zasad demokratycznych. Zjawisko to obserwujemy w Europie od czasu wojny. Za każdym razem, gdy trzeba było rozwiązać jakieś poważne przesilenie, demokracja ponosi koszty tego procesu. Proszę nam wymienić w Europie powojennej przykład, żeby prawdziwy kryzys doczekał się poprawy przez wzmocnienie ustroju demokratycznego. My takiego wypadku nie znamy".

W Polsce współczesnej, po ujemnych doświadczeniach z t. zw. „totalizmem biurokratycznym", daje się zauważyć wyraźna tendencja do rehabilitacji zasad rozsądnej demokracji. Odnosząc się pozytywnie do tego procesu, należy jednak pamiętać, ażeby polskim zwyczajem nie przeholować w przeciwnym kierunku. Dlatego też warto zastanowić się głębiej nad powyższymi słowami, których autorem nie jest żaden „faszysta", lecz człowiek zrośnięty głęboko z Wielką Demokracją Brytyjską.

Należy pamiętać również, że oprócz ujemnych doświadczeń „totalistycznych" posiadaliśmy również nie mniej ujemne doświadczenie z demokracją przedmajową. Powrót do takiej „demokracji" — to byłby skok z deszczu pod rynnę.

Melchior Wańkowicz w opałach.

W niedzielnym dodatku „ABC" p. Kazimierz Bobiński zaatakował popularnego pisarza Melchiora Wańkowicza za jego książkę o Centralnym Okręgu Przemysłowym. W artykule p. t. „Na tropach blagi" czytamy m. in.:

SZEF AUTO - REKLAMY.

O ile Wańkowicz - autor sprawił nam przykry zawód, o tyle Wańkowicz - szef reklamy stanął całkowicie na wysokości zadania.

Z książki poświęconej Centralnemu Okręgowi Przemysłowemu dowiadujemy się szeregu interesujących szczegółów biograficznych z życia autora.

Że miał kolegę w Bilgorajskim (str. 13), należał do kółek, czytał Szczepanowskiego (str. 15), że miał dziada Melchiora, prezesa sądu (str. 26), że zna Sigridę Unsted (str. 33), że był na komerszu Arconii (str. 42), że jako sztubak zwiedził z aparatem fotograficznym Sandomierz (str. 51) i t. d. i t. d.

Przyznajemy, że atak ten, a w szczególności dobór argumentów zdziwił nas niepomiernie. Przypuszczaliśmy dotąd w prostocie ducha, że właśnie styl gawędziarski stanowi o wartości reportażu. Że w takich właśnie dygresjach ujawnia się talent narracyjny autora. Iluż to bowiem jest pisarzy, co chcieliby ożywić w ten sposób swoje nudne elaboraty — a nie potrafią. Wytykać więc Wańkowiczowi to właśnie, dzięki czemu zdobył on tak zasłużoną popularność — to znaczy odwrócić koło ogonem i dziwić się, że nie ma on tam... zębów.

P. Kazimierza Bobińskiego chcielibyśmy, wzorem Makuszyńskiego, zapytać: „Czego się pan biednemu chłopcu czepi?..."

Zatarcie czy dopuszczenie?

Omawiając poprzedni numer „Płomieńczyka" „W i e c z ó r W a r s z a w s k i" w art. pt. „Walka młodych ze starymi ogarnia także obóz Piłsudczyków" pisze m. in.:

„P ł o m i e ń c z y k" spotyka się z Jutrem Pracy" w twierdzeniu, że „drogi rozwoju są w zasadzie słuszne", ale że trzeba nowych ludzi i nowych metod.

A więc — „ofiary paść muszą", muszą przyjść zmiany personalne. „Żelazna miotła byłaby w obecnej chwili niewątpliwym sprzymierzeńcem nie dekompozycji, ale konsolidacji".

Z tą miotłą to rzecz całkiem słuszna Ale skąd mają przyjść następcy tych, których ta miotła wymiecie?

Logicznie rzecz biorąc: albo z opozycji, albo z łona młodej piłsudczyzny. Przypuszczamy, że obydwa cytowane organy myślą raczej o tej drugiej ewentualności. M o ż e n a w e t d o p u ś c i l i b y i i n n y c h m ł o d y c h. Ale w każdym razie chcą zluzować starych".

Zgoda na „dopuszczenie innych młodych" nie oddaje w całej pełni istotnych dążeń młodszych pokoleń Polski. W pokoleniach tych istnieje bowiem wyraźna tendencja do z a t a r c i a linii podziału, dzielącej „nas" od „nich".

ZE WSPOMNIEŃ JESIENNYCH

Paryż i ludzie.

Paryż. Ileż wspomnień! Wspaniałe perspektywy ulic, cudne pomniki, mnóstwo samochodów, sunących szeregami po asfalcie bulwarów, bogate wystawy magazynów, strojne kobiety — cała ta atmosfera spokojnego dobrobytu, beztroskiej sytości, którą się oddychało w stolicy eleganckiego świata.

Gdy przed laty wróciłam do Warszawy, dusiła mnie jej ciasnota, raził źle ubrany, obdarty tłum, przytłaczało ubóstwo i wyszczerzone z każdego kąta zniszczenie. Och, wrócić do beztroskiego Paryża, gdzie nie ma kocich łbów na ulicy, a taksówka nie budzi sensacji, gdzie w wielkich magazynach można za bezcen kupić, co dusza zapragnie, gdzie się tak łatwo, wygodnie i szeroko żyje...

A teraz po wielu latach jadę znów do Paryża, mego „kraju lat dziecinnych". W tym kraju zaczarowanym odpocznę po trudnym i pracowitym pobycie w Warszawie.

Zaraz pierwszego ranka idę przywitać najdroższych przyjaciół: Pola Elizejskie i majaczący w dali Łuk Triumfalny, plac Zgody z kościołem św. Magdaleny na końcu rue Royale i parlamentem po drugiej stronie Sekwany, Tuileries, łuk du Carrousel, Luwr, bukinistów na wybrzeżu i wreszcie ukochaną katedrę Notre-Dame, coraz większą i wspanialszą w miarę zbliżania.

Dążę na plac Zgody z bijącym sercem i staję jak wryta. A cóż tu oni zrobili? — Dostojną harmonię placu zakłócają cztery słupy, oznaczające główne wejście na wystawę, które krzyczą swą posrebrzaną tandetą wśród poważnej ciszy posągów i gmachów.

Odwracam się od placu jak człowiek, któremu zbezczeszczono świętość. Kto pozwolił? Takie rzeczy powinny być karane, więzienie, ciężkie roboty... Czuję, że nienawidzę jakiejś pani, głośno wyrażającej podziw dla okropności, którą „tak dobrze zdaleka widać".

* * *

Idę dalej z goryczą. Zepsuli mi pierwsze chwile, ale chyba więcej nigdzie tak... Nie! Wszystko jest jak dawniej, nic się nie zmieniło, mam znowu lat dwadzieścia, czuję jak wtedy, mogę w pełni przeżywać radość powrotu.

Powoli zaczyna się jednak wsączać niepokój... Czy naprawdę nic się nie zmieniło? Bo przecież coś jednak jest inaczej, jest coś obcego, jakaś fałszywa nuta w nastroju...

To ludzie. Szarzy, dość nędznie odziani, snują się ulicami z wyrazem zafrasowanego znużenia. Ze zdumieniem spostrzegam, że zaczynam porównywać [illegible] p o r ó w n a n i e w y p a d a n a k o r z y ś ć W a r s z a w y.

— Cóż chcesz? — mówią mi, gdy wytaczam tę sprawę w domu. — Kryzys. Dewaluacja. Nikt nie wie, co będzie jutro, więc oszczędzamy. Szukasz zbytku? Strojów? Elegancji? Idź do kawiarni, do restauracji, znajdziesz czego szukasz, zobaczysz ludzi rozrzucających pieniądze garściami, ale Francuzów między nimi nie ujrzysz. Luksus mamy teraz już tylko dla etranżerów.

Nastrój? Diabli go biorą razem z walutą!

* * *

Nie ma nastroju? Zgoda. Ale są zato wspaniałe, zasobne sklepy, pełne cudów, prawdziwe pałace z bajki, w których na każdym kroku się spotyka nigdy dotąd nie widziane, niezwykłe skarby. Chciałabym przywieźć każdemu z moich bliskich jakiś nadzwyczajny drobiazg, jakiego nigdy w Warszawie się nie dostanie, a o jaki w Paryżu tak łatwo. Chodzę więc po sklepach od rana i...

— Nic nie rozumiem — mówię bezradnie do siostry — gdzież te nadzwyczajności paryskie? To samo przecież znajdę w Warszawie, tylko znacznie taniej... Czy to tu u was nic nie ma, czy może w Warszawie wszystko jest?

Zamknięte? A no tak. *„La semaine de 40 heures"* — trudno. W sobotę wszystkie banki są zamknięte, a nie masz pieniędzy — *tant pis pour toi.* Rób sobie co chcesz, do poniedziałku.

W poniedziałek podejmujesz pieniądze w banku i pędzisz do Bon Marche po zakupy. Wracasz jednak rychło z nosem na kwintę — dla odmiany magazyn jest zamknięty. Trudno — kryzys, bezrobocie, *la semaine de 40 heures...* Przynajmniej sklepy spożywcze są otwarte? Gdzież tam! Czterdziestogodzinny tydzień pracy obowiązuje wszystkich, więc w poniedziałek nie ma chleba, we wtorek mięsa, we czwartek... *Nom de nom!* Nielatwo jest być gospodynią domu w Paryżu!

* * *

Po teatrze mamy jechać na kolację. Stoimy na chodniku i czekamy na samochód. Mój towarzysz wyciąga z kieszeni niepotrzebne już teraz, wielkie jak płachty bilety, drze je systematycznie na sieczkę i rzuca kawałki na cztery wiatry.

— Co robisz! Zaśmiecasz ulicę! Zaraz tamten policjant tu przyjdzie i [illegible]

— Karę? Za kilka papierków?! To może u was w Warszawie, ale nie tu! *C'est le pays de la liberté!*

Stanowczo — myślę sobie — lepiej, że kosztem tej „wolności" Warszawa jest o w i e l e c z y ś c i e j s z a...

* * *

Telefonuję po taksówkę, która ma mnie zawieźć na dworzec. Mam ciężką walizę, nie ma więc mowy o autobusie czy metro. Czasu jest dużo, ale zaczynam się niecierpliwić· bureau de taxis nie odpowiada wcale. Chyba zepsuty telefon?

Zawołam więc taksówkę na ulicy. Mijają minuty.. pięć.. dziesięć.. wreszcie [illegible]

— *Gare d'Orleans!*

— Z walizką? O nie!

— Dlaczego?!

— Strajk taksówek! Jakby mnie *camarades* zobaczyli z pasażerką i bagażem... Chyba że madame powie wtedy, że jest moją *petite amie* i jedzie ze mną prywatnie?...

Zostaję więc *petite amie* szofera i jadę na dworzec. Spóźnię się już teraz, ale przynajmniej zostawię walizkę w przechowalni, żeby nie mieć znów kłopotu [illegible]

— Do przechowalni! — mówię do tragarza — spóźniłam się przez ten strajk...

— A dokąd madame chciała jechać?... O, to proszę na peron! Pociąg [illegible]

Istotnie mam jeszcze czas znaleźć zarezerwowane miejsce, kupić gazety i ulokować się wygodnie. Wyruszamy z siedemnasto-minutowym opóźnieniem. Wiem teraz, dlaczego na pytanie o dokładny czas odjazdu odpowiedzieli mi u Cooka: — *„Vers 10 heures"* i za nic nie chcieli tego *„vers"* bliżej sprecy- [illegible]

Jest to czarna niewdzięczność z mojej strony, ale *liberte* w rozkładzie kolejowym zdecydowanie mi się nie podoba. W Polsce nigdy nic podobnego...

— Widzisz? — mówię do swej duszy wyniośle — znowu porównywasz?!

* * *

Kocham Francuzów, ich piękny kraj i starą kulturę, a Paryż zabrał mi dawno kawałek serca, ale... ale nie lubię tej ich wolności i myślę jadąc do Warszawy:

A j e d n a k w P o l s c e j e s t l e p i e j !

J. Nowina.

KRAWIEC MĘSKI
WALDEMAR PRUSIK
WARSZAWA
WILCZA 24a m. 8
front 2-gie piętro
telefon 9-47-97
D ł u g o l e t n i pracownik f i r m: Wajnapla, Sikorskiego i Sachackiego wykonywa r o b o t y s o l i d n i e punktualnie i tanio.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Królewska 49 m. 43 PRENUMERATA: rocznie 3 zł. półrocznie 1,50 zł. Konto PKO. 4.425.

Redakcja i Administracja czynna we wtorki i czwartki od godz. 17 do 18.

Wydawca i Redaktor odpowiedzialny: Tadeusz Skonieczny.

Sal. Szkoła Rzemiosł, (Dział Grafiki), Warszawa, ul. Ks. Siemca 6.